

„Tragarz śmierci”*

Tomasz Strączek

Wakacje od swego najwcześniejszego dzieciństwa spędzałem zawsze na Kaszubach, gdzie za wąskim pasem lasu, widocznym ze wsi na horyzoncie, rozciągało się morze. Ludzie wsi w tamtym czasie przerażali mnie swym stosunkiem do śmierci, zupełnie innym niż ten, z którym miałem do czynienia w Warszawie. W Warszawie śmierć właściwie była nieobecna w moim życiu, natomiast na kaszubskiej wsi po prostu się o niej mówiło. Chłopcy, z którymi godzinami bawiłem się na szerokiej, piaszczystej drodze wiodącej do sklepu, wiedzieli, że czuwa się przy zmarłym podczas „pustej nocy” i że schodzą się wtedy wszyscy ludzie ze wsi, nawet ci, którzy są ze sobą skłócenii.

W miarę jak rosłem proporcje mojej oceny stosunku do śmierci obu środowisk zaczęły się odwracać. W pewnym momencie stało się dla mnie jasne, że kaszubska śmierć, śmierć wiejska, mimo przynależnego zwykle śmierci przerażającego charakteru, jest ludzka, obudowana szczerym współczuciem nie tylko krewnych, ale i dalekich znajomych. Śmierć miejska zaś to niejednokrotnie tragiczna samotność, opuszczenie

Od razu zapowiedziano mi, jak tam przyszedłem, że to jest nie fabryka Wedla, tylko... Ja powiedziałem, że wiem o tym, że słyszałem. Pierwszy raz zetknąłem się z tą pracą, tak że kazali mi iść do magazynu trumien. A w magazynie są różne rozmiary. Człowiek jest taki strachliwy trochę, chociaż to jest puste. To takie jest jakby..., to było jakieś takie głupie uczucie. Widzi się te trumny, różne tam, na kupie, nie na kupie. Na takie listwy kładą jedną na drugą. Są już pomalowane. Tam jest baza i wytwórnia tych trumien. Trzeba je wziąć i wsadzić do wozu. Do wozu wchodziło czternaście sztuk. Dwa wozy takie chodziły. Jednego dnia woziło się po mieszkaniach, a drugiego dnia po szpitalach. I tak na zmianę. Jakies dwa tygodnie tak przyzwyczajali mnie do tego. Tylko trumny rozwoziłem po mieszkaniach, żeby tak zapoznać się z tą pracą. To było bez tam już tego obrządku, bez niczego. Tak się je wstawiało do domu. Nie wszędzie widziałem umarłych, jak wnośliłem trumnę. W niektórych tak, w niektórych nie. Zwłoki leżały w różnych pozach. Na podłodze i na łóżku. Różnie to było. Zależy jakie to mieszkanie, jacy ludzie, jakie środowisko.

Pierwszego dnia trochę tak drygałem. Dryganie to taki jakiś strach, jakby coś... Takie jakieś uczucie głupie było, że to jest jakieś..., no nie wiem – trudno mi powiedzieć. Tak odczuwałem coś takiego – strach może nie, nie bałem się, tylko takie dziwne uczucie miałem z tym. Koło dwóch tygodni tak jeździłem, może dłużej. Dokładnie nie pamiętam. No i po dwóch tygodniach dostałem samochód i jeździło nas pięciu. Czterech pracowało przy nieboszczykach, a ja nie. Potem kierownik wycofał jednego i tak się zaczęło. Bardzo szybko przyzwyczaiłem się do tego, bo ja w ogóle nie myślałem, co ja robię. Co trzeba było zrobić, to się robiło, widziało się, że się ma pieniądze z tego. Człowieka może prędzej pieniądze tam zachęcały niż sama chęć do tej pracy.

* Jan Sosiński (nazwisko i imię zostało zmienione) w latach siedemdziesiątych wchodził w skład brygady jednego z dużych przedsiębiorstw pogrzebowych Polski południowej. Zadaniem brygady był transport zwłok. Obecnie Jan Sosiński pracuje jako magazynier w zakładach przetwórczych niewielkiego miasteczka w województwie olsztyńskim.

Tekst zamieszczony niżej jest zapisem jego wspomnień i refleksji związanych z poprzednią pracą.

przez bliskich nie mogących jej znieść i zaakceptować, wytrzymać jej ciężaru. Miasto oduczyło się rozumieć śmierć, stawiać ją na końcu ludzkiej drogi zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy. W miastach udaje się, że śmierci nie ma. Zajmują się nią wyspecjalizowane służby, dla których jest ona całkowicie anonimowa, stanowiąc jedynie towar.

Wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, co czują ludzie „żyjący ze śmierci”, spędzający w jej cieniu swoje zawodowe życie? Zastanawiałem się, czy można zobojętnieć na śmierć?

Stan wojenny z dnia na dzień bardzo zmienił nasze życie. Wprowadzenie godziny milicyjnej zburzyło wiele istniejących dotąd barier. Ludzie, którzy nie zdążyli do domów, przyjmowani byli przez obcych, mieszkających bliżej, często wprost z ulicy. Tak właśnie piętnaście lat temu poznałem Jana Sosińskiego. W jedną z zimowych nocy stanu wojennego przypadkiem wysłuchałem jego historii, historii, która pokazała mi, że nie można zobojętnieć na śmierć, nawet jeżeli nieustannie żyje się w jej cieniu.

Z dnia na dzień, z dnia na dzień i się człowiek wciągnął. Staraliśmy się dużo i szybko zrobić i już. Czym więcej zgonów, tym więcej człowiek pieniędzy miał – tak to można porównać.

Trumnę z magazynu bierze się na kwit. Taki kwit nazywa się WZ-ka. Na WZ-kę człowiek pobiera i trumnę, i śrubokręt. Nie ma różnicy – kwit zawsze jest taki sam. Trumny wwoziło się czasem windą. Ludzie uciekają od takich rzeczy oczywiście. Windą trumnę wwozi się na dwa razy. Raz wieko, raz denko. Przy windzie od razu jest pusto. Nikt nie chce jechać. Każdy ucieka od tego. Wstawiało się do mieszkania i już. Trzeba było jeszcze odebrać pokwitowanie. Niektórzy dali parę groszy, a nie to nie – nie musieli. W mieszkaniach leżeli nieboszczycy, ale wtedy, kiedy jeździliśmy we dwóch, to myśmy tego nie robili, tego obrządku. Za nami druga taka jeździła brygada, która ubierała, jak trzeba było, czy tam coś. No i wożili do kościoła albo do przechowalni. Gdy byłem już w tej czteroosobowej brygadzie, to właśnie braliśmy z mieszkań. Były różne układy – i mycie, i golenie, i tam makijaż się robiło. Dzień mojej pracy wyglądał tak: wstawałem rano i jechałem do roboty – jak każdy. Podpisuje się tam listę jak wszędzie. Ale już mam podane, przypuścimy dzisiaj wieczorem, po skończeniu pracy, co ja będę robił jutro. I są podane godziny. O której godzinie ma się być w danym mieszkaniu. Jest też podana trasa – skąd i dokąd przewieźć. Z domu wieźliśmy na przykład do kościoła. Za dzień, czy tam jeszcze tego samego dnia po południu – to zależy, jak ksiądz ustalił z rodziną, jest msza. Trumnę kładzie się w kościele w specjalne miejsce, gdzie czeka do tej swojej mszy. Gdy msza się skończy, wiezie się ją na cmentarz i wszystko.

Jedni ludzie byli bardzo zdenerwowani, drudzy nie, to różnie było. Gdy weszliśmy do mieszkania, gdzie leżał nieboszczyk, trzeba było się rozejrzeć, czy to wyjdzie w ogóle z mieszkania czy nie. Były takie przypadki, że nie przeszło po prostu. Trumnę pustą wniosło się na sztorc w tę stronę, ale ze zmarłym trumną na sztorc nie da rady wynieść. Nieraz dlatego trzeba było i na klatce schodowej wszystko zrobić. Zapamiętałem taki jeden przypadek. To było bardzo późno. Zadzwoniliśmy do drzwi i otworzył nam syn zmarłego. Mieszkanie było dosyć wysoko – chyba na VI piętrze. Pamiętam – zaczęliśmy robotę koło godziny dwudziestej. To było w zimie – grudzień albo styczeń.

Klatka w tym domu była bardzo wąska i kręta. Trumna prawie nie mieściła się na zakrętach. Powiedzieliśmy temu człowiekowi, że taka jest historia, a on: chłopaki, macie tu parę złotych i zrobicie tak, jak uważacie najlepiej. No to ja mówię: może jakiś fotelik byśmy wzięli? On: bardzo chętnie – proszę fotelik, prześcieradko. Posadziliśmy nieboszczyka w fotelu, przykryliśmy prześcieradłem i się wstawiło do windy. Jeden z nas piechotą zszedł na dół, zamknął drzwi, żeby nikt nie wchodził ani nie wychodził w tym czasie. Winda została zablokowana. Zwieźliśmy tego dziadka na dół windą, tam było już wszystko przygotowane: futerał, cyk cyk – pięć minut i już nie ma. Już ubrany był na górze. To było najlepsze rozwiązanie. Mebel na taką klatkę schodową ciężko wnieść, a co dopiero mówić o nieboszczyku. Człowiek po śmierci robi się taki ciężki – może dlatego, że taki bezwładny jest? Mówili, że jak dzwony biją, to się dopiero robi ciężki. Nie odczuwaliśmy tego.

Gdy znosiliśmy ciało, staraliśmy się, by ludzie nie przechodzili w tym czasie. Ludzie się boją tego. Boją się dlatego, mnie się wydaje, bo to każdego czeka. Tak się nie obroni przed tym i tak. Niektórzy może mniej, niektórzy może bardziej, ale wszyscy się boją.

Na zleceniu mieliśmy zawsze, co trzeba zrobić. A trzeba było najpierw umyć, potem ubrać. Nie znają się niektórzy i kiedy powiedzieliśmy, że będziemy myć zmarłego, to wodę do wanny napuszczali, myśleli, że to kąpiel będzie. A to trzeba kawałek gąbki, jakiś ręcznik i już. Gdzie to tam do wanny przecież! Potem się ubierało, makijaż, golenie – mieliśmy takie przyrządy jak maszyny i tam takie inne sprawy. Szybko to trwało – około 10–20 minut. Mieliśmy wprawę. We dwóch przeważnie przy takim czymś robiło. Trzech już jest za dużo. Trzeba umieć to po prostu zrobić, bo to sztywny ten człowiek jest przecież. Założyć koszulę, to tak robią, że razem z marynarką zakładają, a jeżeli nie pasuje, to z tyłu marynarkę się rozcina. Staraliśmy się, aby nikt nie patrzył, jak pracowaliśmy przy nieboszczyku. Czasami rodzina mogła mieć pretensje o to, że marynarka jest z tyłu rozcięta. Nie dałoby rady wytłumaczyć im, że inaczej tego nie można zrobić. Jak nie wchodzi, to przecież rękę się nie będzie łamać! Rozcinało się z tyłu nożem czy nożyczkami rękawy i zawiązywało się pod spód, pod rękę. Potem jeszcze tylko krawat i wszystko wyglądało elegancko. Buty też... żeśmy tyły odcinali, jak nie chciały wejść. Kawałek buta trzeba było wyciąć też tak, aby nikt nie widział, że to jest poobcinane. I ludzie bardzo zadowoleni byli. Ale nieraz też nie, bo to tak źle, i tak źle. Mówiłem wtedy: pani wie lepiej proszę bardzo, niech pani robi to sama. To jak wszędzie – jeden zadowolony z takiej pracy, że ktoś mu usługę zrobił, a drugi nie. No to jakby buty do szewca zaniósł. Jeden chodzi zadowolony, a szewc tak samo zrobi drugiemu i ten powie, że źle. Tak samo i tu było. Makijaż to przeważnie robiło się kobietom, ale to jak już ktoś chciał. Był tam taki jeden Poldek to tak: pomalował trochę policzki, kolorów trochę się zrobiło, tam oko trochę poprawił, parę razy pudrem przejechał i to wszystko. No i wieko się zamykało. Jeszcze przed zamknięciem wieka rodzina oglądała, jak wszystko jest zrobione.

Były różne historie. Jedni chcieli, żeby zakładać złoto na tych zmarłych, inni kazali zdejmować. Ci, co zakładali, może mieli za dużo. Pamiętam trzy takie pogrzeby – w tym, co za życia chodziła, to trzeba było ją pochować. Moim zdaniem to niepotrzebne. I tak ktoś to kiedyś wykopie. Jak nie za dwadzieścia lat to za sto lat. Czy do kasacji pójdzie cmentarz, czy bomba spadnie – to różnie bywa. Coś zawsze może się stać.

Nieraz jeździło się do medycyny sądowej. Tam w ogóle kupa mięsa jest. Przywozi się tam zmarłych z każdego wypadku czy tych, co na ulicy gdzieś. Na ulicy, w pracy, w każdym razie zmarłych poza miejscem zamieszkania. Tam leżą jeden na drugim, miejsca mało. Jest taka specjalna brygada, która ich przygotowuje... do wywieżenia. Mieliśmy taki przypadek – nie wiem, czy

ten ktoś był wierzący czy nie, czy rodzina nie miała pieniędzy na opłacenie mszy. Nie wiem, czy się powiesił, czy wpadł pod jakiś samochód – nie było niczego po nim widać. Facet był dosyć ważący – około 150 kg. To go we czterech żeśmy ledwo przynieśli. Trzeba było pokonać dystans gdzieś 120 m. Razem to było ponad dwieście kilo. Mokre dechy dębowe to ciężar jest przecież. Zawieźliśmy go od razu do przechowania. Pamiętam, że zamówili mu murowany grób i nie wszedł w ten grób! Nie mogliśmy go włożyć. Dwa centymetry zabrakło. I teraz co z tym robić? To było już w czasie pogrzebu. Ludzie zaczęli wrzeszczeć. Żeby jeszcze na tych linach, na tych pasach wpuścić, a tu nie wchodzi! Mur za wąski! No i żeśmy tak na pałę pojechali do ogólnej przechowalni i przyjęli tam. To były ciężkie chwile. Powstało zamieszanie, dużo ludzi na tym pogrzebie było, a tu nie daje rady nic zrobić z tym. Złe wymiary podał ktoś. Zawsze się przy robieniu grobu wymiary podaje. Każdy jest przecież różnego wzrostu i są różne futerały przecież. Są tam numery – ósemki, dziesiątki, dwunastki. Dwunastka to największa jest. To już jest taka na takiego chłopca potężnego. No i takie dziecinne. Trumny nazywa się też fujarkami, czasem pudełkami.

Najmłodszego dzieciaka to żeśmy cztery miesiące chowali. A najstarszy człowiek, który przeszedł przez nasze ręce, miał o sto lat więcej, zdaje się. Tego dzieciaka to żeśmy ze szpitala brali. Jeszcze przed pogrzebem trzeba było jechać go ochrzcić. No i do grobu. To wszystko.

To jest nieprzyjemna praca. Tam ludzie są różnie ustawione. Niektórzy przypuścimy na samych wypadkach jeżdżą. Po dwóch. Pociąg zabije, tramwaj, samochód – o, coś takiego. Jak się ktoś powiesi – to też oni tam jadą. To jest taka specjalna brygada. Dyżury mają na okrągło. W niedziele i w święta też. Oni wiozą zmarłych do przechowalni. Raz zastępowałem kolegę na wypadkach. Poprosił mnie, żebym go zastąpił na jeden dzień. Pojechaliśmy na dworzec. Facet wpadł pod pociąg. Trzeba było go zebrać do wora. Są nosze jeszcze do tego, ale tam na nosze nie było co kłaść. Wszystko było osobno. Rozniesiony był na osiemdziesięciu metrach. Tak go rozciągnęło. Trzeba było dotąd chodzić, aż się wszystko zebrało. Regulaminy mówią: starać się wszystko zebrać. To samo słyszeliśmy na odprawach. Tylko raz byłem i już więcej nie chciałem jechać na takie coś! Zwykle przy tym dużo jest gapiów. Patrzą się, a człowiek zbiera... zbiera to. Jak się wynosi nieboszczyka na klatkę schodową to ludzie uciekają, a jak jest wypadek, to się gapią. Nie mam pojęcia, dlaczego tam się gapią, a tu uciekają. Może dlatego, że na klatce schodowej zamknięta przestrzeń jest? Budynek. Może wolna przestrzeń to jakoś inaczej? Gdy we własnym domu ktoś umarł, to się może... nie wiem. Zawsze jak ktoś wypadnie pod samochód czy coś, to zbiera się kupa ludzi. Nie rozumiem tego.

Takiego rozniesionego na osiemdziesięciu metrach człowieka poznaje się tylko po częściach ciała. To jest kupa mięsa. Ciężko odróżnić, co jest czym. Ubranie jest poszarpane i zamazane we krwi. Ten, którego zbierałem, pocięty był niesamowicie. Nawet nie wiedziałem, jak on się nazywał.

To jeszcze nie był dzień, w którym miałem najbardziej dosyć. Napełnie się nie spodziewałem, że taki dzień jakoś tak nagle nadejdzie. Wyjechaliśmy rano. To było przed świętami – pamiętam. Zrobiliśmy dwa pogrzeby z kościoła i to miało być wszystko na ten dzień. Jak przyjechaliśmy, to dyspozytor powiedział: weźcie dwa worki. To wzięliśmy te dwa worki z magazynu, trumnę i idziemy. Są takie worki specjalne. Chłopaki wiedzieli, o co chodzi, a ja nie. Nie powiedzieli mi o tym. Jak przyjechaliśmy na miejsce, nie wszedłem w ogóle do tego mieszkania, bo jak otworzyłem drzwi, to człowiek rzygał. Jak już nie miał czym, to mało bebechy nie wyleciały. Na akcie zgonu potem zobaczyliśmy, że ta kobieta trzydzieści dwa dni temu zmarła. To już była kupa gnoju. Koledzy z brygady musieli wejść. Oni byli przyzwyczajeni – długo pracowali. Tam ludzie po dwa-

dzieńcia lat pracują i więcej. Facet, który ją znalazł, źle zrobił, bo otworzył okna i drzwi. To wszystko buchło na klatkę schodową. Okropny smród. To z rodziny był ktoś. Baba mieszkała sama w trzech pokojach. Tam strasznie śmierdziało. Chłopaki, jak mi opowiadali, to ją wsadzili do tego wora, tak jak siedziała – z tym kocem, z tym wszystkim. Opowiadali, że ona przed telewizorem siedziała, to widocznie telewizję musiała oglądać i na serce czy tam coś. Wtedy miałem dosyć tej roboty. Pomogłem im tylko znosić oczywiście to. Miny moich kolegów były raczej kiepskie. A ja czułem, że znowu będę rzygał. Na tej babie były robaki aż. Takie glizdy chodziły po niej. To chyba z wewnętrzności może, różnie tam bakterie człowiek ma chyba. Facet chciał, żebyśmy znieśli wersalkę z tego mieszkania – tą, na której ta kobieta siedziała. Powiedziałem mu: panie, ja nie jestem firmą Węgielek – on się meblami zajmuje. Mimo tych worków tę babę było czuć! Czułem ten smród przez tydzień. Chodził za mną. Miałem dosyć. Mówię sobie – już kurczę koniec. Więcej, kurwa, nie pojedę już nigdzie. Kumpie mówili mi – dobrze, żeś tam nie wchodził człowieku! Sam widok tego to już... I bez tego widoku jak po tych schodach zacząłem dyla dawać, to obrzygałem je od góry do dołu. Najgorzej było, jak nie miałem już czym rzygać. Bolał wtedy żołądek. Kiedy wypilo się oranżadę to łup za chwilę znowu. Szlag by to trafił wszystko już. A następnego dnia znowu trzeba było normalnie iść do pracy. Wypilo się ćwiartkę gorzałki i zapomniało się. Już jak zamykałem tego wieczora oczy – to nie myślałem o tym. Dziwiło mnie, że kumpie jakoś nie rzygali. Może oni bez powonienia byli, czy co? Chyba czuli ten smród, bo to było niemożliwe, żeby go tam nie czuć. Worki z tą kobietą wkładaliśmy jeszcze w trumnę, a trumnę jeszcze pakowało się w następny wór. Wtedy się zakłada takie blomby i to już nie idzie na żadną mszę, na nic, bo tego na żadną mszę nie ma sensu wnosić.

Było też tak, że jak inna baba zmarła, to nie mogliśmy tego wyjąć, bo okropne pluskwy były. Zbierała makulaturę. Ze dwie tony makulatury były w tym mieszkaniu. Gazety nie gazety – takie różne. To fajansiara ta kobieta była. To myśmy nie mogli wejść tam nawet! Tyle robaków było. Ale trzeba było to zrobić. Kolega się rozebrał i sam ją wpakował, tak jak leżała i już. W dużo miejscach człowiek był. Parę tysięcy ludzi przecież się przetrzuciło. I to różnie było – wie pan.

Nazywano nas różnie: grabarzami, łapiduchami. Nie zwracało się na to uwagi w ogóle. To nas jakoś nie interesowało. Wracając wieczorem na bazę czasem stawaliśmy na piwo. Jak nas czterech usiadło przy stoliku, to te ściany jakby się od nas odsuwały. Chodzi mi o to, że reakcja ludzi siedzących w tej knajpie była dziwna. Bardzo się nam przyglądali, a jednocześnie odczuwała się dystans. Gdy weszliśmy do środka, od razu robili nam miejsce. Nie wiem dlaczego. Czy dlatego, że byliśmy jakby w pracy, czy po prostu bali się nas. Wracaliśmy przecież pustym wozem, nie wieźliśmy nikogo. Tam bardzo odczuwało się to, że jesteśmy jakby jacyś inni, nawet w tym, co do nas mówili: proszę, proszę – panowie se wezmą! To była uprzejmość jakaś, która nie cieszyła nas zupełnie. A człowiek przecież nie śmierdział ani nic. Nieraz jak wyciekło coś z tego, to trzeba było od razu łachy zmieniać. Zgłaszało się i natychmiast dostawało się nowe. Czasami wyciekało. Żaden nerw zmarłego nie pracuje przecież. Tylko się ruszy go, to się zaraz zesra czy zeszczu. W nim zawsze jest coś jeszcze. Ja pamiętam, jak kolega opowiadał o takim przypadku. Przyszło zgłoszenie, że jeden facet powiesił się. Wisiał trzy dni. We dwóch poszli go zdjąć. Rodzina prosiła, aby uważać, żeby nie spadł przy odcinaniu. Jakby nie było rodziny, to by się go ucieło, on by spadł i już. Taki nie poczuje przecież. Jeden wszedł na jakiś taboret i go odcinał, a drugi go trzymał. W pewnej chwili zmarły pękł, i oblał tego, co go trzymał tym jakimś czymś. Śmierdział niesamowicie! Jak przyszedł do samochodu, to taki smród, że nie można było wytrzymać. Ja jeszcze się z takim

smrodem jak ludzki smród nie spotkałem. Wszystko kurczę zniósę – pies dwa tygodnie będzie leżał czy tam ileś – śmierdzi to śmierdzi, ale kurczę blade z człowieka to jest jakiś taki inny ten smród. Z minuty na minutę człowiek przecież się rozkłada, chyba tak samo jak pies. A może mi się wydawało, że smród ludzki jest najgorszy? Może dlatego był dla mnie taki nie do zniesienia, że to rozkładał się człowiek?

Czasami śniła mi się po nocach ta robota. Przeważnie wtedy, kiedy się wypilo trochę za dużo. Różne były dni. Czasami dostaliśmy tak w dupę, że mieliśmy tej pracy zupełnie dosyć. Wtedy, kiedy szło się do domu, to pieprzyły się w głowie takie głupstwa. Śniło mi się kiedyś, że ganiłi mnie nieboszczycy. Nie mogłem im zupełnie uciec. Miałem innym razem też podobny sen. Jakaś postać, wiedziałem, że to był zmarły, zbliżała się do mnie, a ja nie mogłem się ruszyć. Wtedy się ocknąłem.

Na medycynie widzieliśmy wiele zmarłych kobiet. Wśród nich bywały młode i w porządku. Przyjechaliśmy raz tam od tyłu, ale nie przygotowali nam nic jeszcze. Rodzina jej już czekała. Opóźnienie było przez awarię windy. Myśmy przyjechali tak na styk, żeby zabrać i zawieźć do kościoła. Za parę złotych, na prośbę rodziny, polecili tam na górę i znieśli ją po schodach na dół w prześcieradle. Wyglądała, jakby spała po prostu. Ubrali ją raz dwa. Potem zawołali mnie. Leżała tam ze dwadzieścia ciał. Każde na specjalnym wózku z taką zapadką, którą ściekało to wszystko, co wyleci z człowieka. Stoły do sekcji zwłok też mają takie zapadki. Takie stoły raz widziałem i to tylko przez okno. Nie wchodziłem tam do środka. Facet, który pracuje przy tych zwłokach, to jest przezywany zimnym chirurgiem. To nie jest lekarz żaden. To jest po prostu taki robotnik! Lubi się w tym babrać. Lekarz mu mówi, co ma wyciąć. A ten tnie normalnie. Potem siada obok i je śniadanie. Ci ludzie wyglądają jak rzeźnicy. Mają tych narzędzi tam przeróżnych poukładane. Wycięte części ciała bierze się do laboratorium. Potem ten gość zszywa i ubiera takiego nieboszczyka. W ogóle go szykuje. Niektórzy cały czas przy tym są pijani, ale niektórzy robią to zupełnie na trzeźwo.

W tej robocie szczęśliwy to się czułem po kielichu. Tylko tak. Inaczej nigdy! Nawet jak jedzie się karawanem i stanie się pod światłami, to ludzie z tramwaju patrzą się, gapią, jakbyśmy nie wiem... na jakiejś wystawie byli. I w czasie pogrzebu ludzie się bardzo nam przyglądają, a człowiek poważnie stał, nie do śmiechu nam było. Nic się nie odzywaliśmy. Trumnę do samochodu braliśmy w milczeniu. Wstawialiśmy ją z tyłu – tam gdzie jest specjalnie na to kabina oddzielona. Wieńce wieszaliśmy wokół trumny, żeby ładnie wyglądało. Ale jak wracaliśmy z cmentarza, to już byliśmy innymi ludźmi. Śpiewaliśmy, gwizdaliśmy w pustym samochodzie. W kościele jest taka chwila – kiedy trzeba być poważnym. Po pogrzebie było takie uczucie, że nareszcie koniec. Dlaczego człowiek potem miał być poważny? Sami byliśmy, bez ludzi, bez nikogo. Wtedy jakieś odprężenie przychodziło na ten czas. Odprężenie po jakimś zatrzymaniu, które się odczuwało zwłaszcza w kościele, ale na cmentarzu też. Czasem jednak i w czasie niesienia trumny opowiadaliśmy sobie kawały i takie inne historie. Jeden pukał tam, w to pudełko, i mówił: głowa puka! Wie pan, to były takie wygłupy. Z tyłu ludzie płakali, a z przodu człowiek się wygłupiał. Później to wszystko traktowało się jak każdą normalną pracę. Mniej się człowiek przejmował, że rodziny płaczą. Stawał się taki jakiś... Trzeba? To jedziemy, nie ma co się pieprzyć. Dziennie robiło się pięć pogrzebów, co zajmowało nam 12–13 godzin.

Teraz nie wracam myślami do tej pracy. Jak by mnie ją proponowali, tobym nie poszedł drugi raz. Może dlatego, że już to znam? Przedtem pracowałem z ciekawości, ja wiem, jak to powiedzieć? Człowiek nie wiedział, jak to wygląda. Opowiadali mi kumpie o tym, ale opowiadać to co innego, a co innego, jak się to wszystko zobaczy.

Reakcje ludzi na śmierć kogoś bliskiego są różne. Pamiętam, to było w święta. Siedzieliśmy na bazie do trzynastej czy czter-nastej. Nagle jest zgłoszenie. Jedziemy tam. Ulica zgadza się i numer też się zgadza. Weszliśmy z trumną na górę, dzwonimy do drzwi i pytamy, czy to tu. Tak panowie, tu – odpowiada facet, który nam otworzył. Mówi do nas: najpierw proszę, i za butelkę bierze. Koledzy oczywiście po babcie. Mnie w ćwiartkę wlał go-rzałki. – To dla pana za nieboszczyka – powiedział. No i teraz tak: tu pijani są i pytają się, czy mają z nami jechać. Ja mówię: panie, my to wieziemy do przechowalni. Od pana zależy, czy pan pojedzie, czy nie. Ja bym pojechał w przypadku, gdyby to był mój brat czy tam ojciec, czy matka, nie? Pojechał, zobaczył jak tam. Nikt nie pojechał. Tośmy sami te zwłoki przewieźli i zosta-wili w przechowalni. To było takie tych ludzi zachowanie. Nie wiem, czy dlatego, że pijani? Czy zadowoleni, że zdech? Nie wiem. Niektórzy bardzo chcieli tam z nami jechać i zostawali tam potem. Nie ma takiej potrzeby, żeby zostawać, bo rodziny i tak tam się nie wpuszcza. Są tam potężne, grube drzwi. Maszy-ny pracują w tych pomieszczeniach jakimś dziwnym szmerem. Gdy lodówka chodzi, to takie uczucie jest... Trumny stoją w chłod-ni na wózkach.

Przy śmierci tak jest zawsze. Niektórzy przeżywają mocno, inni wcale.

Robotę zawsze jednakowo robiliśmy. To nie było tak, że te-mu lepiej, temu gorzej. Tylko ludzie uważali, że źle, przypuść-my, jest, a człowiek tak samo robił. Zawsze wykonuje się te sa-me czynności. Różnica polega na tym, że inaczej są mieszkania ułożone. Czasami trzeba nieboszczyka wkładać na korytarzu, czy nawet, jak panu mówiłem, na klatkę schodowej. Inaczej nie wyszłoby się z trumną. Ludziom to się nie podoba. Trudno im wytłumaczyć, że inaczej nie da rady. Czasem, gdy się przenosi, pęknie materiał i nieboszczyk upadnie na podłogę. Nieraz ciężar człowieka w trumnie jest tak duży, piętro wysokie, a trzeba iść bez odpoczynku, bo gdzie odpoczywać tam? Trzeba szybko wy-chodzić. Mimo to bywało, że nie dało rady wytrzymać. Musieliśmy to postawić. Potem nie mogliśmy już trumny podnieść. Pro-siliśmy ludzi przechodzących, żeby nam pomogli. Z tyłu szła ro-dzina i patrzyła na nas. Postawić trumnę zdarzyło nam się że trzy czy cztery razy. Raczej jednak nie mieliśmy specjalnych jakichś skarg, żeby coś źle było.

Ludzie pracujący w tym fachu często chorują na korzonki i wszyscy mają ręce pozrywane od noszenia ciężarów. Skrzynkę gdy się niesie, to rzuca się, jak jest ciężka i odpoczywa się, ile się zechce. Tu, z trumną nie można tego zrobić. Jak się stawia trum-nę w czasie niesienia, to praca jest już niedobra. Nie wiem – czy rodziny zmarłych, których nieśliśmy, nie zdawały sobie sprawy, ile oni ważyli przed śmiercią? A po śmierci tam kilo odejdzie, dwa. I dodać do tego trzeba futerał, który jest piorunsko ciężki.

Byli w tej robocie u nas ludzie uważani za dobrych. Nie mia-ło się dla nich zupełnie jakiegoś tam specjalnego szacunku czy podziwu. Był taki jeden. Dżinks się nazywał, znaczy takie prze-zwisko miał. Wszędzie wszedł. Kiedyś miejsca nie było w szo-ferce, a on jechał pomóc tam gdzieś, to z tymi trupami z tyłu po-jechał. Wsiadł normalnie i jechał siedząc obok nich. A to wszy-stko gołe jest. I to jest takie pomieszane – mężczyzna, kobieta – wszystko razem. Mają przy rękach numery pozakładane na ta-kich sprężynkach. Dżinks wszystko zrobił – dlatego był dobry. Przykładem kiepskiego w tej robocie to mogę być ja. Nie mo-głem czasami zrobić tego, co on. I nie robiłem tego, co on. Cza-sami zastanawiał mnie, że te zwłoki człowiek jak jakiś materiał przekazywał do przechowalni.

Rodzina boi się ubierać zmarłego. Ludzie czują przed tym ja-kis strach. Może przez to, że sami będą w takiej sytuacji? Nieraz człowiek pogłaszcze zdechłego kota. Ja, przypuśćmy, jak pies wpadł mi pod samochód, nie bałem się wziąć go na ręce, chociaż sztywniał błyskawicznie. Zaniósłem go na ogródek i zakopałem.

Jeszcze posłałem mu w dole wiórami, żeby mu wygodnie było leżeć. A muszę panu powiedzieć, że nieboszczyka nie dotknąłem w życiu! Znaczą ciała nie dotknąłem, ale gdy się pomagało go wsadzić do trumny, to się brało za ubranie. Coś jest takiego w człowieku, że odczuwa jakąś odrazę do tego! Człowiek potra-fi hodować króle i potem tak normalnie zabijać je tłuczkiem. Be-beszcy je i babrać się w tym smrodzie, krwi. A przy człowieku tego nie robi! Chyba dlatego, że to człowiek. Nie?

Niedawno zmarł mi wuj. W niedzielę był jego pogrzeb. Tam jakoś w niedzielę chowają. U nas w niedzielę się nie chowa. A gdzieś w takich małych miasteczkach, gdzie psy dupami szczekają, chowa się właśnie w niedzielę. Musiałem jechać, bo on nie miał nikogo. Przeżył synów, córki i żonę. Jak zobaczyłem go w trumnie – wzruszyłem się. Bo to wie pan – rodzina to co in-nego. Człowiek inaczej do tego podchodzi.

Moja żona nie wiedziała, że ja w tej robocie pracuję, chyba ponad miesiąc. Przypadkowo zobaczyła mnie na ulicy, jak nio-słem trumnę. Potem wypierałem się, że to nie ja byłem, że to ktoś podobny musiał być do mnie. Dziwnie zachowywała się przez pierwsze dni. Później przyzwyczaiła się do tego, ale zno-wu człowiek zaczął pić za dużo i z tego była niezadowolona. Kto tam wódki nie pije, to otoczenie nie chce go przyjąć. Jakiś jest taki dla tych ludzi jakby inny człowiek. Może charakter tej pracy jest taki, że pije się dla odwagi, żeby nie bać się myślenia o tym wszystkim? Nawet grabarz, taki na cmentarzu, jest na okragło pijany. Pijany jest i ten, co kopie dół, i ten, co ładuje. I ci, co tam spuszcza, to rzadko który jest trzeźwy. Nie mówi-łem nikomu, że tam pracuję, bo byłem pewien, że będą się wy-smiewać – trupku, łapiduchu. Potem znajomi się dowiedzieli. Pojechałem na swoją dzielnicę do kościoła. Nazwisko zmarłego nic mi nie mówiło. Wszedłem do kościoła, patrzę, a ja wszy-stkich znam! Trudno było mi się już wycofać. Podeszliśmy do te-go katafalka i trumnę na plecy. Nikt nic nie mówił w tym cza-sie. Dopiero na cmentarzu pytali się, ile czasu już w tej robocie jestem i jak mi się w tym fachu wiedzie. Powiedziałem, że kiepsko, bo co się będę chwalił, że bardzo dobrze. Powiedziałem chłopakom, żeby pieniędzy nie przyjmowali od nich. Ja nie wiem, dlaczego ludzie dawali pieniądze. Po prostu dawali tak, jakby nam się należało.

Z tymi samymi kumplami woziłem przez cały czas. Do koń-ca. Jak w rodzinie było. Trzech ich było. Funkcje były podzielo-ne. Ja przy samochodzie nie robiłem nic. Dosłownie nic. Jak przychodziłem, to wszystko było gotowe. Wóz z garażu był wy-prowadzony. I tak co dzień było. Wóz musiał być czysty, bo to nie śmieciarka. To jest taka jakaś chwila, że nie mogło się zda-rzyć tak, żeby było brudno! W tej naszej brigadzie było jak w ro-dzinie. Wszystko polegało na koleżeństwie. Co trzeba było w do-mu, czy coś ktoś tam miał – to się poszło i zrobiło. Pomagało. Wszyscy okazywaliśmy sobie jakąś taką serdeczność. Wiedzieliśmy, że siedzimy na tym samym stołku. Nie było tego, że tam ta-ki owaki... czy tam coś takiego...

Po robocie czasami łąziłem po lesie. Czasami, jak się jakie-goś znajomego spotkało, to się szło na piwo. Jedno, drugie i po małym. Wie pan... tak. Towarzystwo było różne. Mówili: ty masz parę złotych, zarabiasz. Ludzie tak jak pijawki przychodzili do mnie. Myśleli, że ja mam majątek. Odpowiadałem: idź do robo-ty, tam gdzie ja, to będziesz miał też. Mam ochotę, mogę posta-wić, ale nie muszę. I tak się odpoczywało.

Potem to już tak trochę żal było odejść, bo to się człowiek przyzwyczaił i pieniędzy też było po boku.

Człowiek żyje, a potem koniec i już, no co! Nikt się przed tym nie zabezpieczy. Przyjdzie dzień, godzina i koniec! Nic z niego nie zostaje, nic – trochę czaszki i kości! Poza tym nic. Czy jest jakieś życie pozagrobowe? Może tam i coś jest. Nawet nie myślę, kiedy to się stanie. Może dziś, może za pięćdziesiąt lat? Ja wiem, co mnie czeka?